

Olga Dębicka¹

Powojenna wielokulturowość zaklęta w gdańskie historie rodzinne

Zawsze uważałam, że w pisaniu powinna być misja. Od kilkunastu lat zajmuję się archiwizowaniem ludzkich losów z tygła narodowościowego w Trójmieście po 1945 r., ratowaniem historii rodzinnych, ocalaniem starych fotografii z szuflad. Oddaję mi swoje życiorysy w depozyt, a dzięki temu „nie znikną bez śladu”. Mam taki jeden egzemplarz książki *Fotografie z tłem. Gdańszczanie po 1945 r.*, o który drzę, bo jest jak skarb. To egzemplarz z autografami moich bohaterów, z ich osobistymi ręcznymi wpisami (po niemiecku, kaszubsku, rosyjsku, gwarą kociewską etc.).

Rozszyfrowywanie niektórych fotografii, jak relikwie z rodzinnych szuflad, było robotą na poły detektywistyczną, archeologiczną i dziennikarską. Stare, płaskie, czarno-białe zdjęcie z szuflady stawało się skrzynką, która uruchamiała pamięć bohatera. A potem odbywało się sklejanie życiorysów z odprysków, rekonstrukcja spalonej mapy Gdańska...

„Koniec i początek”, jak w wierszu Wisławy Szymborskiej, koniec wojny – początek pokoju w 1945 r. w Gdańsku to węzłowy moment opowiadanych w moich reportażach historii. Bo powojenny gdańszczanin to przede wszystkim uczestnik „wędrówki ludów”, która przetoczyła się przez to miasto. Repatriant z wielkiego tygła narodowościowego. Niemiec, wilniuk, lwowiak, Kaszub, Kociewiak, warszawiak... Gdański bowke i lwowski baciak. I tu, i tam – nie u siebie. Zawsze rozdarty na pół. Pomiędzy pierwszą ojczyznę, porzuconą krainę dzieciństwa, a drugą ojczyznę, krainę młodości, do której został przywieziony z transportem w bydłonym wagonie. Przybysz ze Wschodu długo traktował Gdańsk jak nieoswojoną przestrzeń, jak „niby swoje”, obce, zniechęczone, nazistowskie miasto. Bo w każdym domu zostało coś szwabskiego, przypieczętowanego hitlerowską gapą. Nowy przybysz nie odwracał się w przeszłość Freie Stadt Danzig – miasta zmiecionego

¹ Pisarka; odebicka@gmail.com.

z powierzchni ziemi. Nie przeżywał „zagłady Atlantydy”. Na gruzach budował bez sentymentu całkiem inne nowe miasto Gdańsk.

Mój bohater jest też danzigerem – niemieckim gdańszczaninem, który po zakończeniu drugiej wojny światowej albo został wygnany „do siebie” za Odrę do Niemiec i wspomina „Heimat” z dystansu kilkudziesięciu lat i co najmniej tysiąca kilometrów. Albo tym, który nie potrafił porzucić swoich czterech kątów, i po to, by zostać w ukochanym mieście stał się na siłę Polakiem. Czuł się przede wszystkim *hiesige* (tutejszy), tutaj spędził *der Kindheit und Jugendzeit* (lata dzieciństwa i młodości). Więc z przymusu zmienił wszystko: imię, nazwisko, narodowość, język. A nazizm, wojna i komunizm do końca życia wybiły mu z głowy nostalgiczne wspomnienia i chwalenie się anegdotami z gdańskiej młodości. Ale nie zmieniło się to, co najważniejsze w jego sercu i głowie: po kilkudziesięciu latach od zakończenia wojny, mieszkając wciąż w tym samym domu, wcale nie przestał czuć się – tutaj w środku – niemieckim gdańszczaninem. I często do końca życia odnajdował się „na przekór” tylko w niemieckiej topografii miasta.

Zdarzało się, że moi gdańszczanie mówili o wstydzie odmienca, którego zdemaskowano, że nie bardzo potrafili poradzić sobie z tym „garbem”, ze swoim podejrzanym pochodzeniem. Gdańsk dla nich to był *die ganze Welt* (cały świat). Niektórzy do końca życia mówili po niemiecku, w gdańskim żargonie, w ten sposób bojkotując polską rzeczywistość. Dla niektórych również kaszubskość była jak szpecące znamię, ze wstydem wypierali ją z siebie.

Mój gdańszczanin, pomimo długiej lekcji języka polskiego, trwającej dziesiątki lat, nadal pamiętał Plattdeutsch, zachował niemiecki chropowaty akcent albo zaciągał śpiewnie po wschodniemu z charakterystycznym „l”. Jeszcze na wiele lat po wojnie w różnych językach rozważał tajemnice różańcowe, modlitwę odmawiał po kaszubsku, białorusku, litewsku...

Przyznawali, że pomiędzy różnymi grupami etnicznymi dochodziło do konfliktów. Różnił się pracowity Kaszuba od romantycznego i otwartego wilniuka, cwaniaczącego warszawiaka. Tak na przykład wspominała Regina Okrój (z domu Toczko) (z reportażu *Z dwóch rodzajów gliny*):

Zdarzało się, że jakiś warszawiak, „bosa Antek”, potrafił nazwać mojego męża Romana, Kaszubę, „niemiecką świnią”, a na porządku dziennym było przezwisko „Krzyżak”. Roman powtarzał, że Kaszubi, jak górale, zawsze trzymali się swej ziemi i Kościoła, dlatego nie przejmują się ujadaniem zewnętrznych kundelków. Ze mnie się naśmiewali, że zaciągam po wschodniemu. „Lala z Wilna przyjechała” – przedrzeźniali akcent. Warszawiacy potrafili dokuczyć opowieściami, że my zza Buga nie potrafimy korzystać z łaźienki i w wannie trzymamy świnię. Przez pewien czas czułam się gorsza, miałam wręcz kompleks, że pochodzę z Polski „B”.

W naszych trudnych rozmowach, jak cień na rozpromienione twarze powojennych gdańszczan, powracało przeżycie obozu koncentracyjnego Stutthoff, katastrofa statku „Wilhelm Gustloff”, ceka śmierci na Kurkowej, zbiorowe gwałty kobiet. Trudno żyć w miejscu, gdzie zaczęła się druga wojna światowa... Ale oni pomimo wojennej traumy zachowali tylko tę dobrą pamięć, nic z resentymentu! Co więcej ich postawa mówiła: przebaczam.

Na warsztaty z historii rodzinnych, które prowadzę, pewna emerytowana Pani doktor przyniosła książkę kucharską matki, wilnianki. Własnoręcznie wykalfografowaną z dygresjami pomiędzy przepisami kulinarnymi, na temat zasad życiowych, katechizmu, z elementami *savoir vivre'u*, tak, żeby „od kuchni” w pełni ukształtować kręgosłup moralny wnuków wychowywanych w Gdańsku.

Dzięki tym rozmowom pokazałam, że Gdańsk pod eleganckim sukniem płaszcza ma wstydliwą podszewkę. Zaczęłam baczniej oglądać fasady domów, odczytywać napisy na murach, szukać daty na betonie chodnika i kaflach kanalizacyjnych, zauważać na drzewach klepsydry z niemieckimi nazwiskami. Zrozumiałam, że Gdańsk jest pergaminem, to palimpsest, na który nanoszone były kolejne warstwy zapisków. A powojenni gdańszczanie to ludzie wielu małych ojczyzn i języków, wyznań, nacji. To mieszanina kultur, temperamentów i historycznych doświadczeń.

W wielu gdańskich historiach pojawia się też zachwyt nad miastem, *genius loci*, kiedy bohater chwali urodę swojej starej dzielnicy. I bez różnicy czy jest to stara Oliwa czy Dolny Wrzeszcz nad Strzyżą, jak z przedwojennych pocztówek Paryża czy gdańska Starówka. Takie małe fragmenty miasta zatrzymane w fotograficznych kadrach i urwane chwile szczęśliwego w nim bycia. „Człowiek w mieście” – na jednej ulicy w tym samym domu podczas czterech trudnych i burzliwych epok (okresu przedwojennego *Freie Stadt Danzig*, drugiej wojny światowej, komunizmu, zrywu „Solidarności” i wolności).

Jestem wdzięczna za to wszystko, co dostałam od moich bohaterów-gdańszczan, to Mistrzowie życia: od świętej pamięci Inge Teległówny (z domu Zuppke), Bibi – Charlotte Degler (z domu Treder), później Jabłońskiej, Pięknej Sokolicy – Łucji Toczyskiej (z domu Szotyńskiej), żyjącego w *Bramche* Heinza Jürgena Andersa (już nie rudego, a siwego), od bohaterów z rodzinnej opowieści Donalda Tuska czy od Jutty Szuster.

Można powiedzieć, że te moje gdańskie historie rodzinne same nadal się piszą. Zażyłości trwają, kontaktuję się z potomkami moich rozmówców z różnych zakątków Polski i na emigracji, pamiętamy o swoich urodzinach, imieninach, rocznicach. Spotykamy się, kiedy przyjeżdżają do Gdańska na święta i na groby. Bo Gdańsk jest tam, gdzie żyją gdańszczanie.